



## WĘŻEM W TWARZ

*Zoey*

Moja kuzynka miała szczęście, że dzielił nas cały stan i że morderstwo było srogo karane.

– Inez – powiedziałam, czując, jak kończy mi się cierpliwość.  
– Musisz trochę obniżyć poziom hysterii. Nie jestem w stanie ci pomóc, kiedy tak zawodzisz bez ładu i składu.

– Dlaczego brzmisz tak, jakbyś była w jaskini? – zapytała Inez, tymczasem zapominając o dramie, z powodu której zadzwoniła do mnie w stanie paniki. – O matko, Zoey! Jesteś uwięziona w prawdziwej jaskini?

Przewróciłabym oczami, ale jako że leżałam na brzuchu i zagłądałam w ciemność pod łóżkiem, nie miałyby to sensu.

– Tak, Inez – odparłam cierpko. – Utknęłam w jaskini, ale taka ze mnie altruistka, że kiedy zadzwoniłaś, nie chciałam cię martwić moją zagrażającą życiu sytuacją.

– O Boże! – Pisk mojej łatwowiernej kuzynki niemal przebił mi bębenki. – Dobra, wyślij mi pinezkę, a ja wezwę Mounties\* albo tych, którzy schodzą do jaskiń i ratują ludzi.

– Na litość boską. Nie uprawiam alpinizmu jaskiniowego. Szukam pod łóżkiem buta. Odwołaj Mounties, którzy tak w ogóle są Kanadyjczykami. A ja przebywam w Pensylwanii.

Nadal świeciłam latarką z telefonu w ciemną czeluść pod wielkim hotelowym łóżkiem.

No to już wiem, co się stało z moimi ciepłymi podkolanówkami.

– Na pewno nie jesteś uwięziona w jaskini i nie zjedzą cię nietoperze?

– Na pewno.

Aha! Wypatrzyłam zaginiony kozak od Stuarta Weitzmana – był zakleszczony między rustykalną szafką nocną a nogą łóżka. Za jego uwolnienie zapłaciłam naciągnięciem sobie czegoś w szyi i guzem na głowie.

– No to dobrze. W takim razie wracajmy do mnie. Gdzie ja będę mieszkaaaaaać?

My, rodzina Moodych, mieliśmy skłonność do przesady i dramatyzmu.

– Tak sobie myślę... – rzekłam, wysuwając się powoli spod łóżka. – Że może nadal w moim mieszkaniu? No wiesz. W tym z jedną sypialnią na drugim piętrze w budynku bez windy, które wspomniałyśmy ci wynajmuję na czas mojej tymczasowej przeprowadzki do cukierkowej miejsciny rodem z tandetnego filmu Hallmarka. Już porzucasz swoją karierę w modelingu łamane przez catering?

Inez zamieszkała na Manhattanie, marząc o założeniu firmy oferującej catering topless. Ale, jak to ujęła, miało to być „arty-styczny catering topless”. Z tego, co pamiętałam, po niefortun-

---

\* Członkowie Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej. (Przypisy pochodzą od tłumaczki).

nym epizodzie z gorącą pomidorówką przeszła na serwowanie wyłącznie zimnych przekąsek.

Ciężko dysząc i masując obolałą szyję, rzuciłam się na materac i przyjrzałam się tej katastrofie przebranej za mój pokój hotelowy. O miejsce na podłodze walczyły sterty czystego i brudnego prania. Moje „sprawy służbowe”, czyli laptop i mnóstwo rozrzuconych kartek, opanowały łóżko i niewielki stolik pod oknem z widokiem na jezioro. Mała szafa doświadczyła odzieżowej apokalipsy i od tamtej pory nie dawała się zamknąć.

Na dłuższą metę mieszkanie i praca w pokoju hotelowym wcale nie były tak zachwycające, jak to sobie wyobrażałam. I mimo hojnej zniżki, jaką mi zaoferowano, było to nadal cholernie drogie lokum – o czym boleśnie zaczynałam się przekonywać.

O kilka tygodni za późno zajrzałam na konto i przekonałam się, że moje oszczędności niemal się wyczerpały. Trzeba podjąć drastyczne kroki, jeśli miałam przetrwać do momentu, gdy po publikacji książki mojej jedynej klientki otrzymam procent od jej zaliczki... czyli dopiero za siedem tygodni.

– No właśnie o to chodzi, Zoey. Nie masz już mieszkania – jęknęła Inez, podczas gdy ja uniosłam wysoko nogę i wsunęłam stopę w kozak.

– Nie przyjęłaś od piekarza z szóstego piętra ciasteczek z marihuaną i nie przegrałaś mojego mieszkania w pokera, co? Ostrzegałam cię, madame Reneski jest karcianym rekinem. Ma zakaz wstępu do czterech kasyn w Las Vegas.

– Co? Nie! Przegrałam z nią tylko twój sweter od Chanel.

– Oby to nie był ten czerwony, bo na rodzinnym zjeździe cię zamorduję.

– Zoey, czy możesz się w końcu skupić? Próbuję ci powiedzieć, że nasze mieszkanie nie jest już na wynajem, lecz do kupienia.

Poderwałam się do siadu jak wyskakująca z pudełka zabawka na sprężynie.

- Co powiedziałaś?
- Budynek przechodzi na system własnościowy. Dali ci trzydzieści dni na wykupienie tego mieszkania albo wyprowadzkę.
- Kto dał, Inez? – zapytałam ostro.
- Nie wiem, Zoey. Ludzie, którzy dwa tygodnie temu przyśleli powiadomienia i przemawiali na zebraniu lokatorów.

Pacnęłam się ręką w czoło.

- Czemu wcześniej mi o tym nie powiedziałaś?

– Myślałam, że to zrobiłam. Nie zrobiłam?

Jako osoba, którą przez większość życia określano mianem „lekkomyślniej”, zawsze uważałam, że etykieta „zbyt głupia, żeby żyć”, którą branża romansów tak chętnie przypina bohaterkom, jest jednak trochę niesprawiedliwa. Aż do tej chwili.

– Nie – odparowałam. – Powiedziałaś mi, że ten włochaty koleś, którego poznałaś na pilatesie, zapchał odpływ pod prysznicem, i że wydawało ci się, że widziałas, jak zwycięzca RuPaul’s Drag Race kupuje w Quick Stop hot dogi.

– Och. No nie. To było dużo wcześniej. Może powiedziałam innej kuzynce?

– Wiesz co, Inez? Oddzwonię do ciebie.

I rozłączyłam się, zanim poddałam się narastającej chęci, aby jej ubliżyć.

Irytujący dźwięk alarmu w telefonie oznajmił, że do spotkania z Hazel zostały dwie minuty.

– Jasny gwint – mruknęłam i z jednego z krzesel przy oknie ściągnęłam względnie czystą marynarkę, jednocześnie wybierając numer w telefonie.

– Zoey! Jak miło cię słyszeć. Co tym razem zrobiła ta twoja durna kuzynka?

Pani Newville była osiemdziesięcioparoletnią emerytowaną gwiazdą Broadwayu, obecnie amatorską krytyczką kulinarną, która mieszkała naprzeciwko mnie na Manhattanie.

– Nie powiedziała mi, że budynek przechodzi na system własnościowy.

Na moment zapadła znamienna cisza.

– Cholera!

– Jak to się mogło stać? – zapytałam, wciskając rękę w rękaw marynarki.

– Właściciel budynku wplątał się w szemrany przekręt w stylu piramidy finansowej i poszedł siedzieć. Nowa właścicielka zdecydowała, że nie chce się użerać z najemcami i wobec tego sprzedaje wszystkie mieszkania. Wiesz, że masz tylko trzydzieści dni, tak?

– Trzydzieści dni na podjęcie decyzji, czy zamierzam wykupić swój lokal? – zapytałam z nadzieją, nakładając na usta mój drugi ulubiony błyszczczyk.

Ten ulubiony tydzień temu gdzieś posiałam i zapomniałam zamówić nowy. Co oczywiście teraz było niemożliwe, biorąc pod uwagę wcześniej wspomnianą finansową katastrofę.

– Trzydzieści dni na podpisanie umowy kupna albo wyniesienie się – sprostowała pani Newville.

– Cholera! – mruknęłam.

Rozległo się radosne pukanie do drzwi. Dałam susa ponad tacą po wczorajszej kolacji i je otworzyłam.

Hazel, moja najlepsza przyjaciółka i jedyna klientka, stała przede mną zadowolona, promienna i zakochana. Długie kasztanowe włosy związała w kucyk, na czoło opadała gęsta grzywka. Kudłaty pies u jej nóg rzucił mi spojrzenie, które uznałam za wyjątkowo oceniające. Meetcute był średniej wielkości czarno-białą kulą szorstkiej, sterczącej sierści i częścią zeszlorocznych przeprosin/oświadczyń ze strony Campbella Bishopa, wkrótce męża Hazel.

Pies pacnął łapą mój but, jakby ten był gryzakiem z niewyprawionej skóry. Wpuściłam ich do środka, starając się zachować stosowny dystans między moimi drogocennymi kozakami

a paszczą pełną drobnych, ostrych jak brzytwa zębów. To nie tak, że nie lubiłam zwierząt. Wolałam po prostu oglądać je z bezpiecznej odległości – z dala od zębów, pazurów, sierści i śliny.

– Prześlę ci zaraz link – powiedziała pani Newville. – Tylko uprzedzam, że cena wyjściowa nie jest dla osób o słabych nerwach.

– Dzięki za ostrzeżenie. Pani zostaje? – Nie potrafiłam wyobrazić sobie tego budynku ani Nowego Jorku bez niej.

Prychnęła.

– Za taką cenę? W życiu. Razem z moim nowym chłopakiem przeprowadzam się do Portugalii. Słuchaj, muszę kończyć. Idę na karaoke z wiceprezesem do spraw finansowych i dwiema zakonnicami. No to pa, dzieciaku!

Mogłabym dożyć dwustu lat i moje życie nadal nie byłoby tak interesujące jak jej.

– Pa, pani Newville – odparłam ponuro.

To się nie mogło dziać naprawdę. To nie było częścią triumfalnego powrotu, nad którym pracowałam od czasu mojego zeszłorocznego, bezceremonialnego zwolnienia. To był potężny krok wstecz.

– Co tam u naszej ulubionej damy z Broadwayu? – zapytała Hazel, spuszczać Meetcute'a ze smyczy.

Ten uroczy postrach natychmiast zanurkował nosem w moje brudne pranie, wydając przy tym rozanielony pomruk.

– Przeprowadza się do Portugalii. Możliwe, że ja też tak zrobię, w zależności od tego, jakie są tam koszty życia. – Kliknęłam w link od pani Newville, przewinęłam w dół i gorąco pożałowałam, że nie mogę się cofnąć do szczęśliwszego, mniej bezdomnego okresu w życiu. Nawet kiedy byłam Agentką Literacką Ze Stacją Dobrze Zarabiających Klientów, nie było mnie stać na kupno mieszkania. Zoey Posiadająca Jedną Klient-

kę i Żyjąca Z Kurczących Się Oszczędności miała przerąbane.

– Szlag!

– Co się stało? – zapytała Hazel, zdejmując z jednego z krzesel stertę korespondencji i siadając.

– Moja kuzynka...

– Ta świadcząca usługi gastronomiczne w stroju topless, hispiska prowadząca pensjonat czy biochemiczka hodująca alpaki? – weszła mi w słowo.

– Ta toplessówna z ptasim mózdzkiem, której podnajmuję mieszkanie, właśnie mnie poinformowała, że budynek przechodzi na system własnościowy, a ja mam trzydzieści dni na to, aby kupić mieszkanie albo się wynieść.

Hazel z całych sił starała się nie okazać triumfu. Mnie jednak nie zwiódła.

Oskarżycielsko wymierzyłam w nią palec.

– Przestań.

– Co mam przestać? – zapytała z udawaną niewinnością, otwierając szeroko brązowe oczy.

– Przestań triumfować.

– Wcale tego nie robię. Meetcute, czy ja triumfuję?

Pies podniósł łeb znad maltretowanej skarpetki i go przechylił.

– Mam różne opcje – upierałam się.

– Oczywiście.

– Mogłabym kupić to mieszkanie. – Gdybym obrabowała kilka banków albo odkryła, że zamożny zmarły krewny, o którego istnieniu nie miałam pojęcia, zapisał mi wszystko w teście. Ale to by pewnie zajęło więcej niż trzydzieści dni. – Albo mogłabym znaleźć coś innego. Może przenieść się do Village. Albo New Jersey. A może znaleźć jakieś miejsce ze... współlokatorami. – Pogratulowałam sobie, że nie zakrzusiałam się przy tych słowach.

– Jasne – odparła, układając porozrzucane na stole kartki w schludne stosiki.

– Nie rozgaszczaj się – rzuciłam ostrzegawczo. – Jestem gotowa do wyjścia.

– Jesteś tego pewna? – zapytała niewinnie Hazel, podnosząc jedną kartkę.

Patrzyła z niej na mnie pobrużdżona, pełna irytacji twarz pisarza Earla Wiggensa, mojego świętego Graala. Był większym bucem niż Elon Musk, ale gdybym pozyskała go jako klienta, mogłabym zapomnieć o problemach finansowych.

Wyrwałam jej z ręki kartkę i schowałam do swojej wielkiej torby na ramię.

– W stu procentach. Potrzebny mi płaszcz?

Wczesną wiosnę we wschodniej Pensylwanii w najlepszym razie można uznać za zmienną, a przez okno nie dało się ocenić kwietniowej temperatury ani prędkości wiatru.

Hazel nie ruszyła się z krzesła i spojrzała wymownie na moją torbę.

– Earl Wiggins to mizoginistyczny dupek starej daty. Kiedyś podczas koktajlu powiedział mi, że romanse to „oderwane od rzeczywistości bzdury”, ponieważ kobiety nie mogą mieć wielokrotnych orgazmów. Nigdy nie miał agentki kobiety, gdyż uważa je za genetycznie gorsze. Będzie ci potrzebny płaszcz. I mogłabyś przeprowadzić się tutaj.

Spojrzałam na nią spode łba.

W chwili, kiedy Hazel oficjalnie się zaręczyła ze zrzędlivym budowląncem Camem, usilnie próbowała mnie przekonać, że Story Lake to idealne miejsce na odbudowanie mojego zawodowego imperium.

– Haze, cieszę się, że tak ci się podoba życie w małym miasteczku, gdzie każdy zna twoje imię. Ale nie mogę podbierać dupków z list bestsellerów „New York Timesa” narcystycznym bufonom pokroju twójego byłego męża i moich dawnych współ-

pracowników, jeśli mieszkam kilka godzin od Nowego Jorku w zapyziałym miasteczku, które głosowało na slogan Story Lake: Miasteczko Cudów. Agenci muszą mieszkać tam, gdzie toczy się życie wydawnicze.

– Błagam – fuknęła. – Obecnie dziewięćdziesiąt pięć procent swojej pracy możesz wykonywać z domu. Większość agentów nie dojeżdża już nawet do biura. Pomyśl o tym, ile kasy zaoszczędziłabyś dzięki przeprowadzce tutaj choćby na jeden rok. – Wstała i położyła mi dłonie na ramionach. – Pomyśl o garderobie, którą mogłabyś tu mieć.

Taki właśnie był problem z najlepszymi przyjaciółmi. Doskonale wiedzieli, jak trafić w czuły punkt. Jako dumna i oddana miłośniczka ciuchów fantazjowałam przede wszystkim o przestronnych szafach. A to była jedna z niewielu rzeczy, których Nowy Jork nie mógł mi zapewnić w moim budżecie.

– Przemyśle to – obiecałam.

Tak, przedłużony pobyt w Story Lake był jedną z opcji. Ale miałam wrażenie, że zaakceptowałabym w ten sposób porażkę. Nie byłam stworzona do małomiasteczkowego życia. Byłam zajęta, odnosząc sukcesy mieszkanką Manhattanu... albo przynajmniej wcześniej tak było. A jeśli zajdzie taka konieczność, pazurami wydrapię sobie powrót na szczyt. Musiałam jedynie przetrwać kilka nadchodzących miesięcy, wynieść książkę Hazel na orbitę sukcesu i pozyskać jako klienta umiarkowanie paskudnego Earla Wiggensa. Łatwizna.

– Możemy już iść? – zapytałam. – Masz do podpisania zamówione książki i musimy uzgodnić szczegóły preorderu.

– Jasne. Ale wiesz, że nie masz na sobie spodni, prawda?

– Cholera!

---

Gdy sytuacja ze spodniami została opanowana dzięki parze uroczych, dopasowanych szortów włożonych na wzorzyste raj-

stopy, z pyska Meetcute'a wyrwałam swój ulubiony stanik, po czym zeszyliśmy na dół. Leśne Ustronie usytuowane było na spokojnym, zalesionym wschodnim brzegu jeziora. Tworzył je rustykalny, trzykondygnacyjny budynek z białym sidingiem i dachem z zielonej blachy. W stronę kamienistego brzegu odchodziły dwa skrzydła.

Kiedy tu trafiłam, przez wiele tygodni byłam jedyną mieszkanką tego hotelu. Jednak w dużej mierze dzięki fascynacji czytelników prawdziwym „żyli długo i szczęśliwie” Hazel, zarówno hotel, jak i miasteczko odnotowały napływ kochających książki turystów. Znalazło się nawet kilku, którzy – co było do prawdy niepojęte – postanowili zapuścić korzenie w Story Lake.

Po wyjściu z windy w słonecznym lobby czekał na nas chaos.

– O rany – mruknęłam, uchylając się przed końcem rolki połyskującego tiulu, którą Hana, właścicielka i jednocześnie szefowa kuchni, niosła przerzuconą przez pokryte tatuażami ramię.

– *Sorry, Zo.* Przygotowania do ślubu! – zawołała, szybko nas mijając.

Za nią biegli dwaj krzepcy faceci, pchając wózki z tacami pełnymi brzęczącego szkła.

Billie, żona i partnerka biznesowa Hany, pomachała do nas łokciem zza recepcji, jednocześnie trzymając przy uszach dwa telefony i ruchem głowy wskazując dostawcy drogę do baru w lobby.

Odmachnęłam i prawie wyładowałam na tyłku, kiedy pod nogi wparowała mi kobieta z zarumienionymi policzkami i szczęściem w oczach. Miała na sobie oversize'ową bluzę z napisem PANNA MŁODA #2.

– Omójboże! – wykrzyknęła. – To naprawdę ty. To znaczy: wiedziałam, że tu mieszkasz. To dlatego my – ja i moja prawie żona, juhu! – postanowiłyśmy wziąć tutaj ślub. Przyjechałyśmy z Maryland na Święto Zimy i Mistrzostwa Mega Bingo właściwie po to, aby cię stalkować, a skończyło się tak, że zakochały-

śmy się w tym miasteczku i zarezerwowałyśmy Leśne Ustronie na nasz ślub, który odbędzie się w ten weekend. Powinnaś się na nim zjawić! Kochamy cię!

Panna Młoda #2 powiedziała to wszystko na jednym wydechu ponad moją głowę do mojej znacznie wyższej i bardziej sławnej najlepszej przyjaciółki.

Zrobiłam tę typową dla agentki pauzę, chcąc się upewnić, że rozentuzjasmowana panna młoda nie stanowi zagrożenia dla Hazel, po czym niechętnie przejęłam smycz i zesłam z drogi.

– Bierzesz tu ślub? Ja też! Gratulacje! – zapiszczała moja przyjaciółka.

– OMG, biorę ślub w tym samym miejscu co Hazel Hart?

Zmiana oktawy sprawiła, że Meetcute żałośnie zapiszczała. Zrobiło mi się go żal, więc wysłam przed pensjonat, na słoneczny, choć chłodny wiosenny dzień.

Pies obwąchiwał chodnik i zachowywał się tak, jakby miał do załatwienia coś bardzo ważnego.

– O Boże. Tylko nie rób kupy. Nie rób kupy – błagałam bóstwa zwierzęcej defekacji do czasu, aż dołączyła do nas Hazel. – Nieźle nakręcona panna młoda – rzuciłam, z wdzięcznością przekazując jej smycz.

– Urocza, no nie? Uprzedzam, że ja przed swoim ślubem będę totalnie nie do zniesienia – rzekła z rozmarzeniem.

Meetcute zrobił kółko na trawie i kucnął.

Ha! Dzięki wam, bogowie kupy! Chociaż coś poszło dzisiaj po mojej myśli.

– Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Rozczarowałabym się, gdyby było inaczej. A jak Cam reaguje na ślubne plany?

Z fikuśnego pojemnika przymocowanego do smyczy wyjęła woreczek na odchody.

– Ma zaskakująco dużo do powiedzenia w kwestii jedzenia, kwiatów i zaproszeń.

– A co mówi o sukni?

Choć Hazel sprzątała właśnie kupę, na jej ustach malował się figlarny uśmiech. Miłość robiła z ludźmi dziwne rzeczy.

– Powiedział, że musi być łatwa do ściągnięcia.

Westchnęłam.

– Gdybym tak bardzo cię nie kochała, pewnie bym cię znie-  
nawidziła.

– Rozumiem – odparła z zadowoleniem.

– Jak ci idzie pisanie?

Skrzywiła się.

– Na razie próbuję wyczuć bohaterów.

Co oznaczało więcej robienia zakupów w necie niż pisanie.

– Wiesz, że jedyne, co jest lepsze na powrót niż jeden best-  
seller...

– Wiem. Wiem. Dwa bestsellery.

– Na czym utknęłaś?

– Nie wiem. Chyba po prostu na razie nie wiem, kim oni są.

Co oznacza, że nie wiem, dlaczego nie mogą być razem.

– Powiedz Camowi, że musi ci podrzucić inspirację – zasugerowałam.

– Och, podrzucił. Dziś rano. W kuchni – powiedziała Hazel z pełnym samozadowolenia uśmiechem kobiety, która zaliczyła orgazm na kuchennym blacie.

– Miłość jest taka niehigieniczna.

Postanowiłyśmy, że pójdziemy do księgarni. Dzięki temu Meetcute miał możliwość obsikać każde mijane drzewo. A ja uchroniłam się przed połamaniem wszystkich paznokci podczas ściskania klamki, kiedy Hazel pokonywałaby tę ośmiusetmetrową trasę zdezelowanym SUV-em, który kupił jej Cam. Jej jazda stawała się coraz lepsza. Bardzo powoli. Sam rozmiar auta zapewniał jej bezpieczeństwo za kółkiem, czego nie dało się powiedzieć o krawężnikach w miasteczku i należących do sąsiadów kubłach na śmieci.

Słońce świeciło na bezchmurnym, błękitnym niebie i odbijało się od pozostałości śniegu na Lake Drive. Z ziemi wychylały się zielone łodygi żonkili i krokusy, obiecując nadchodzące piękno i ciepło. Nowy początek. Świeży start.

Aha. Wszyscy cieszyli się nowym rozdziałem. Mój był po prostu nieco mniej triumfalny niż innych. Utrata mieszkania stała się kolejnym metaforycznym chluśnięciem cytrynowego soku w oczy w mojej spirali niepowodzeń.

– Zgadnij, kto siedział dziś rano na stole śniadaniowym i jadł kocie pożywienie, kiedy Cam i ja weszliśmy do kuchni? – rzuciła Hazel, poprawiając smycz, którą przypięła sobie do paska, no bo teraz była taką osobą, która przypinała do paska psie smycze.

– Zgaduję, że DeWalt.

DeWalt był grubym rudym kotem Hazel, który dotrzymywał jej towarzystwa na biurku, kiedy pisała. A przez dotrzymywanie towarzystwa miałam na myśli rozkładanie swojego wielkiego cielska na klawiaturze, dzięki czemu w jej manuskrypcie pojawiały się zbędne litery i znaki.

– DeWalt i Bertha – oświadczyła, podczas gdy Meet-cute podreptał między drzewa, aby znaleźć idealny kijek, który mógłby zabrać do miasta.

Hazel w chwili paniki kupiła tę swoją różową potworność na nie do końca rzetelnej aukcji internetowej, a po fakcie się przekonała, że dom wymaga generalnego remontu i że... mieszka w nim spory, półudomowiony szop. Dla mnie Bertha była jak połączenie Liama Neesona i przeciwnictwa Houdiniego. Miała szczególne umiejętności pozwalające jej dostać się z powrotem do domu bez względu na to, ile „szopopodobnych” zabezpieczeń zastosował Cam.

– To znowu pośle Cama do króliczej nory, no nie? – zażartowałam.

– Raczej do szopiej nory. Przed moim wyjściem wisiał z braćmi na telefonie, omawiając z nimi taktyki monitoringu.

– Brzmi to jak inspiracja do drugiej książki.

– Zobaczymy. Pisanie nie jest proste, ale naprawdę nie mam ochoty szukać prawdziwej pracy.

– Napisałaś całą książkę inspirowaną tobą i Camem. Może musisz jedynie znaleźć nową parę, aby cię zainspirowała? – zasugerowałam.

– Nie najgorszy pomysł. Nic dziwnego, że się ciebie trzymam.

Meetcute wybiegł z lasu ze średniej wielkości patykiem w zębach. Dumnie uderzył mnie nim w piszczele.

– Ojej! Cutie! Świetna robota – zagruchała Hazel.

– Auć. Tak, to bardzo ... sportowe z twojej strony. Wcale nie będziesz opóźniał naszego marszu – powiedziałam, klepiąc go niechętnie po głowie.

Wpadł w stan czystej radości, wywijając całym ciałem, ale nie wypuścił patyka z pyska.

Dalej szłyśmy w stronę miasteczka. W pewnym momencie Hazel wskazała na niczym niewyróżniającą się skrzynkę pocztową z drewnianą tabliczką z napisem BISHOP.

– Levi robi postępy z książką. Naprawdę poważnie do tego podchodzi. Dał mi przeczytać tylko kilka rozdziałów, ale serio są niezłe. Jeśli jesteś zainteresowana, mogłabym załatwić ci plik, kiedy już skończy pierwszą wersję.

– Jeśli do czasu, kiedy Levi będzie gotowy, nie złamię oporu Earla Wiggensa, przyjrę się temu – obiecałam.

Hazel zmarszczyła nos.

– Serio, czego ty chcesz od tego starego ramola z podejściem „za moich czasów mężczyźni byli mężczyznami, a kobiety gotowały kolację”?

– Piętnaście ostatnich tytułów tego ramola trafiło na listy „New York Timesa” – zauważyłam. – Poza tym, kiedy twoja książka dotrze na szczyt listy najlepiej sprzedających się tytu-

łów, a w dodatku uda mi się podebrać z mojej dawnej agencji jeszcze jednego autora bestsellerów, oficjalnie wygram życie.

– Głodna Zemsty Zoey to jedna z moich ulubionych wersji ciebie. Ale wiesz, co bym powiedziała, gdybyś była moją bohaterką?

– Nie jestem niczyją bohaterką – zaprotestowałam.

Hazel przyłożyła dłoń do serca.

– Byłabym tą piękną i utalentowaną najlepszą przyjaciółką, która przypomina pięknej i utalentowanej bohaterce, że zemsta nie jest najbardziej satysfakcjonującą misją w życiu.

– Czyżby? A co jest?

– Miłość – oświadczyła teatralnie.

– Dobrze w takim razie, że to prawdziwe życie, a nie jedna z twoich książek, bo nie muszę cię słuchać.

W tym momencie padł na nas cień. Meetcute jeszcze bardziej wybałuszył oczy, po czym upuścił kijek i zaczął ujadać na to, co się czaiło nad nami.

– Kurde, Gąsior – powiedziała Hazel, gromiąc wzrokiem bielika, który wylądował na nagiej gałęzi nad naszymi głowami.

Nadal nie oswoiłam się z faktem, że to miasteczko ma własnego orła. W Nowym Jorku mieliśmy jedynie gołębie. Ten ptak był ogromny i może nawet odrobinę majestatyczny. Był także zmorą piekielną. Jeśli można mieć zwierzęcą nemezis, Gąsior był moją. Kiedy przyjechałyśmy do Story Lake, powitał nas w taki sposób, że Hazel walnął w głowę, a na moje kolana upuścił wielką martwą rybę. Nadal nosiłam emocjonalne blizny.

– Nie nasraj na nas – nakazałam swoim najbardziej władczym tonem.

– Nie zjedz mojego psa – poprosiła Hazel.

– No tak, tego także nie zrób – dodałam szybko.

– Czy on coś trzyma w szponach? – zapytała Hazel, przechylając głowę.

Meetcute przerwał szczekanie i zrobił to, co ona.

Zmrużyłam oczy. Zdecydowanie coś się poruszało na tle szarej kory. Coś długiego i cienkiego.

Przysięgam na Boga, że ten ptak spojrział mi prosto w oczy, kiedy rozłożył ogromne skrzydła.

– Czy to jest...? – Głos przerażonej Hazel uwiązał w gardle.

– Gąsior, nie rób tego – rzuciłam ostrzegawczo chrapliwym szeptem.

Ale było już za późno. Ptaszysko rozwarło szpony, a jego ofiara runęła w dół prosto na mnie.

Wąż – prawdziwy, cholerny, żywy wąż – trafił mnie w czoło i zaczął się zsuwać po moim ramieniu.

– Ja. Pierdolę. Ty pierzasty durniu! – krzyknęłam. Kontrolę przejął instynkt przetrwania, więc pognałam przed siebie, gorączkowo otrzepując włosy i ramiona. – Spadaj ze mnie! Spadaj!

Biegłam po asfalcie spanikowanym zygzakiem, byle dalej od tego cholernego orła i jego głupiego węża. Ale strach i adrenalina zawęziły mi pole widzenia. Kiedy Hazel krzyknęła moje imię, zdążyło mnie już oslepić słońce odbijające się od szkła i metalu.